KREW MANITOU

GRAHAM MASTERTON

ALBATROS

ROZDZIAŁ 1

Badanie krwi

Ledwie minęła jedenasta rano, a słońce już waliło w chodniki niczym kowalski młot.

Kiedy doktor Winter, ubrany w nieco za duży brązowy lniany garnitur i zielone okulary przeciwsłoneczne w stylu filmu *Matrix*, przechodził przez Herald Square, ujrzał zebraną pod supermarketem grupkę ludzi. Z początku sądził, że oglądają nową wystawę, potem jednak zauważył, że przed sklepem występuje mim.

Frank Winter zawsze czuł irracjonalną niechęć do mimów, żonglerów, klaunów i wszelkich innych ulicznych artystów. Zawsze podejrzewał, że za namalowanymi na ich twarzach uśmiechami ukrywa się coś przebiegłego, złośliwego, gotowego w każdej chwili zrobić jakąś szkodę. Ale ten artysta przykuł jego uwagę. Była to dziewczyna – bardzo szczupła, drobnokoścista, w jednoczęściowym stroju z ciasno opinającej ciało srebrnej tkaniny. Jej obcięte niemal przy skórze włosy też były pomalowane na srebrno.

Frank zatrzymał się i zaczął ją obserwować. Materiał tak dokładnie obejmował jej ciało, że równie dobrze mogłaby być naga. Miała małe piersi z wystającymi sutkami, a pośladki szczupłe i nabite jak u chłopaka. Srebrna farba pokrywała dokładnie twarz o wyrazistych rysach – niemal piękną, choć było to piękno wychudzonego, porzuconego dziecka – nie zakrywała jednak bladobłękitnych, przenikliwych oczu.

Uwagę Franka zwrócił nie tylko jej wygląd, ale także niezwykły numer, który wykonywała. Ciało dziewczyny bujało się na boki, tak jakby nie istniała grawitacja. Potem zaczęła się pantomimicznie wspinać i jakimś sposobem wyglądało to, jakby naprawdę wspinała się po drabinie. Ale na szczycie tej wyimaginowanej drabiny zachwiała się i niemal straciła równowagę. Dwójka dzieci, stojących w obserwującej ją grupie ludzi, cofnęła się odruchowo – jakby srebrna postać miała na nie spaść z wysokości kilku metrów.

Słońce tak przypiekało Frankowi potylicę, że przycisnął do niej dłoń. Musiało być prawie trzydzieści pięć stopni Celsjusza, a wilgotność powietrza z pewnością wynosiła nie mniej niż osiemdziesiąt pięć procent. Kiedy szło się po mieście, podeszwy obklejał asfalt, a wszyscy ludzie – podobnie jak ci, którzy stali teraz wokół niego – byli ubrani głównie w T-shirty, szorty i sandały i wściekle wachlowali się gazetami i przewodnikami turystycznymi. Upał trwał już ponad tydzień – od drugiego sierpnia – a meteorolodzy przepowiadali najdłuższą falę upałów w Nowym Jorku od tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego roku.

Stojąca na szczycie wyimaginowanej drabiny dziewczyna objęła się rękami i zaczęła dygotać, jakby marzła. Choć słońce prażyło, Frank niemal poczuł falę chłodu – jakby ktoś otworzył tuż za nim lodówkę. Odwrócił się do stojącego obok mężczyzny.

– Niezła jest, co? – zagaił.

Mężczyzna wyglądał na Włocha, może na Greka. Miał brodę, płaski, przypominający dziób rybołowa nos i wyłupiaste brązowe oczy, a z jego ucha zwisał dziwaczny kolczyk, nieco podobny do indiańskiego łapacza snów – sporządzony z piór, pereł i haczyków na ryby. Uniósł brwi i uśmiechnął się, ale nic nie powiedział.

Frank nie był pewien, czy mężczyzna go zrozumiał.

– Mam na myśli sposób, w jaki drży. Sprawia, że… naprawdę robi mi się zimno.

– Jest jedną z bladych – odparł mężczyzna z uśmiechem. – To dlatego.

– Bladych? – powtórzył Frank i pokręcił głową.

– Chętnie bym to panu wyjaśnił, ale prawdopodobnie by mi pan nie uwierzył.

– Niech pan spróbuje. Jestem lekarzem, a ludzie w tym fachu są gotowi uwierzyć niemal we wszystko.

Dziewczyna zaczęła schodzić z wyimaginowanej drabiny. Kiedy „zeszła", usiadła na leżącym na chodniku czerwono-żółtym dywaniku i zaczęła wykręcać ręce i nogi, aż zamieniła się w ludzki supeł. Gdyby Frank nie widział tego na własne oczy, postawiłby wszystkie pieniądze na to, że coś takiego jest niemożliwe z anatomicznego punktu widzenia. Widział jej twarz między powyginanymi nogami. Była pozbawiona jakichkolwiek emocji, jakby jej dusza przebywała gdzieś bardzo daleko, ale oczy zdawały się w jakiś niepojęty sposób grozić Frankowi, jakby nakazywała mu trzymać się z dala od niej.

Przetoczyła się kawałek po chodniku jak wielka piłka, po czym jednym płynnym ruchem jej ręce i nogi rozplątały się i dziewczyna stanęła nieruchomo, z szeroko rozpostartymi ramionami. Ludzie z otaczającej ją grupki zaczęli klaskać, a dwóch pracowników w mundurach elektrowni głośno gwizdnęło.

Do pomalowanej na srebrno puszki wpadały kolejne monety i tłumek stopniowo się rozpraszał, ale dziewczyna nie odchodziła. Opierała się obydwiema rękami o okno supermarketu i głęboko oddychała. Mężczyzna o greckim wyglądzie też nie odchodził.

Frank zdjął okulary przeciwsłoneczne. Widział swoje odbicie w szybie za sylwetką dziewczyny – wysoką, barczystą postać z zaczesanymi do tyłu, ostrzyżonymi na jeża włosami, które zaczynały siwieć na skroniach.

– Dość niesamowite przedstawienie – powiedział. – Jestem lekarzem, ale jeszcze nigdy nie widziałem nikogo, kto potrafiłby się zwinąć w taki sposób.

Dziewczyna odsunęła się od okna i odwróciła. Zlustrowała Franka od stóp do głów, jakby wiedziała, kim jest, nic jednak

nie powiedziała. Frankowi przyszło do głowy, że być może dlatego jest taka dobra jako mim, bo jest niemową. Popatrzył na mężczyznę o greckim wyglądzie, ten jednak najwyraźniej nie był zainteresowany włączaniem się w konwersację.

– To naprawdę świetny pokaz – powiedział z zakłopotaniem – ale muszę już iść.

Wyjął z kieszeni dolarowy banknot i pochylił się, aby wrzucić go do puszki, kiedy dziewczyna nagle przyłożyła dłoń do gardła i zaczęła rzęzić. Na całkiem sztywnych nogach zrobiła krok w stronę Franka, potem jeszcze jeden. Z początku uznał, że to kolejny element przedstawienia, ale po chwili zobaczył, że ma szeroko otwarte oczy i otwiera, a potem zamyka usta, jakby nie mogła oddychać.

Zaraz potem zwymiotowała krwią. Chlusnęła z niej jasnoczerwona, chlupocząca fontanna, która zalała chodnik i ochlapała Frankowi buty. Dziewczyna odchyliła głowę do tyłu i opadła na kolana. Frank ukląkł obok i objął ją ramieniem.

– Co się stało? Jest pani chora? Rozmawiała pani z lekarzem?

Dziewczyna pokręciła głową. Wyglądała na przerażoną.

– Niech pan zadzwoni pod dziewięćset jedenaście! – krzyknął Frank do mężczyzny o greckim wyglądzie. – Proszę, żeby zadzwonił pan… – Gdy nie otrzymał odpowiedzi, rozejrzał się, ale tamten właśnie oddalał się pospiesznie. – Proszę pani, zadzwonię po karetkę, żeby zawieźli panią do szpitala – oznajmił i sięgnął do kieszeni po telefon.

Dziewczyna skinęła głową. Chyba zamierzała coś powiedzieć, zamiast tego jednak zwymiotowała kolejną porcję krwi, która zmoczyła Frankowi rękaw. Kilku przechodniów stanęło, aby im się przyjrzeć, ale większość ludzi starała się trzymać z daleka – przechodzili nawet na drugą stronę ulicy. Frank nie miał do nich pretensji – byli oboje tak zakrwawieni, że wyglądali, jakby pobili się na brzytwy.

Jedyne, co mógł zrobić, to uklęknąć obok dziewczyny, trzymać ją blisko siebie i patrzeć, jak wyrzuca z siebie krew. Gwałtownie dygotała i wciąż była zimna.

Choć prawdopodobnie nie trwało to więcej niż dziesięć minut, miał wrażenie, że minęła godzina, zanim zjawił się ambulans. Słońce tak mocno prażyło, że rozlana na chodniku krew parowała. Usłyszał wycie syreny, zaraz potem trzasnęły drzwi samochodu i zagrzechotały kółka noszy. Ktoś pomógł mu wstać.

Podeszła do niego jedna z ratowniczek i przyjrzała mu się uważnie.

– Jest pan ranny? Proszę pozwolić mi się zbadać.

◆ ◆ ◆

– Dobra wiadomość jest taka, że jest HIV-negatywna, Frank – powiedział doktor Gathering.

Frank stał przy oknie w swoim gabinecie, który znajdował się na dwudziestym szóstym piętrze budynku Szpitala Sióstr z Jerozolimy, i patrzył w dół, na Zachodnią Trzydziestą Szóstą. Samochody migotały w słońcu, a tłum w dole, składający się z ludzi ubranych głównie na czerwono, żółto i zielono, wyglądał jak rozrzucone żelki.

– A zła wiadomość?

George Gathering otworzył plastikową teczkę, którą trzymał w ręce, i wyjął trzy kartki, na których zapisane były wyniki badań laboratoryjnych.

– Powiedziałbym, że raczej zdumiewająca. Musiała zwymiotować ponad dwa litry krwi, nie licząc tego, co z niej wyleciało, zanim dotarł do niej ambulans. Powinna nie żyć.

– Wyglądało to na pęknięty wrzód żołądka.

– Z początku też tak sądziłem, ale nie stwierdziliśmy żadnego poważnego uszkodzenia błony śluzowej żołądka, choć moim zdaniem warto zrobić jeszcze jedno prześwietlenie. Nie znaleźliśmy też żylaków przełyku. Wątroba również jest zdrowa.

– Więc skąd ta krew?

– Jeszcze nie jesteśmy pewni, ale sam najlepiej wiesz, jak wrzody umieją się chować.

– Chyba się zgodzisz, że mimo wszystko to bardzo nie-

zwykłe. Zazwyczaj, jeśli pacjent zwymiotuje taką ilość krwi, rzadko udaje się zatrzymać krwawienie.

– Jak powiedziałem, chcę zrobić jeszcze jedno prześwietlenie. Są jednak jeszcze inne niezwykłe objawy.

– Tak? Na przykład?

– Jak na kobietę w jej wieku, ma poważnie zaburzoną chemię trawienia. Jej błona śluzowa żołądka wydziela mniej mukoproteiny niż u osiemdziesięciolatki. Co oczywiście oznacza, że nie wchłania witaminy B dwanaście.

– Więc ma anemię?

– Zgadza się, ale to nie wszystko. Jest też, może właśnie z tego powodu, nadwrażliwa na światło dzienne. Zmyliśmy z niej tę srebrną farbę i kiedy chcieliśmy ją położyć w normalnej sali przy oknie, zaczęła tak wrzeszczeć, że musieliśmy ją przenieść do izolatki i zasłonić wszystkie okna.

– Co mówi o sobie?

– Powiedziała, że nazywa się Susan Fireman, ma dwadzieścia trzy lata i jest na trzecim roku w Beekman College of Art and Design. Mieszka przy Wschodniej Dwudziestej Szóstej z dwiema koleżankami i chłopakiem jednej z nich. Pantomima jest ponoć jedynie zajęciem dodatkowym. Jej dokumentację medyczną ma lekarz rodzinny z New Rochelle, gdzie mieszkają jej rodzice. Próbujemy się z nimi skontaktować. Poza zwykłymi chorobami wieku dziecięcego podała tylko bolesne miesiączki i alergię na szybkowary.

– Rozmawiałeś z jej rodzicami?

– Jeszcze nie. Prosiła, żeby tego nie robić. Twierdzi, że ojciec jest poważnie chory na serce i nie chce go martwić.

– Rozumiem. Była ostatnio za granicą?

George zajrzał do swoich notatek.

– W październiku pojechała do Meksyku… była przez jedenaście dni w Cancun.

– Czy ktoś z jej przyjaciół albo znajomych na coś chorował?

– Nic o tym nie wie. Jest jednak jeszcze jedno: ma powtarzający się koszmarny sen.

– Koszmarny sen? Od koszmarów nocnych nie wymiotuje się krwią.

– Oczywiście, ale panna Fireman z jakiegoś powodu uważa, że to ważne. Ten sen pojawia się każdej nocy od ponad miesiąca. Za każdym razem jest taki sam.

– Mów.

– Wydaje jej się, że znajduje się na jakimś statku, gdzieś pośrodku oceanu. Jest zamknięta w skrzyni i nie może się wydostać.

– To wszystko?

George zamknął teczkę.

– Wszystko. Ale twierdzi, że jest to tak realistyczne, że woli w ogóle nie spać.

– Rozumiem – mruknął Frank. Przypomniał mu się dzień, w którym ojciec zabrał go po raz pierwszy do cyrku – miał wtedy jakieś pięć lat – a tam podszedł do niego klaun i wydarł mu się prosto w twarz. – Miewałem podobne koszmarne sny.

◆ ◆ ◆

Dał swojej asystentce Marjorie wolny dzień, aby mogła odwiedzić swoją starzejącą się matkę w Paramus. Założył okulary od Armaniego, aby sprawdzić w komputerze pocztę, choć w większości był to spam z firm farmaceutycznych. Potem zaczął przeglądać zwykłe listy, odrzucając ulotki reklamowe i rozrywając te, które wyglądały tak, jakby mógł się w nich znajdować czek. Zadzwonił na pediatrię, aby sprawdzić, kiedy ma tam dziś przyjść na konsultację (okazało się, że za piętnaście czwarta, na piętnastym piętrze), potem poszedł do automatu, z którego wziął podwójnie mocne espresso, i zjechał na dziesiąte piętro, by odwiedzić Susan Fireman.

– Modlę się, aby ten upał wreszcie zelżał – powiedziała siostra Dominica, z którą spotkał się w windzie. – Musiałam dziś rano jechać metrem i jestem głęboko przekonana, że nasz Pan chciał mi pokazać, jak wygląda piekło… na wypadek gdybym miała ochotę zgrzeszyć.

Siostra Dominica ważyła ponad dziewięćdziesiąt kilogramów, a jej blada twarz przypominała gruzłowaty ziemniak z Idaho. Kiedy drzwi windy się otworzyły i do środka wcisnęli się kolejni ludzie, Frank pomyślał, że może i miałaby ochotę pogrzeszyć, tylko gdzie miałaby znaleźć kogoś, z kim mogłaby to robić?

Poszedł jasnym korytarzem do pokoju numer piętnaście sześćdziesiąt sześć. Drzwi były uchylone, a Susan wyglądała na głęboko uśpioną, więc bez pukania wszedł cicho do środka. Żaluzje były opuszczone, ale na ścianie trzepotała plama światła w kształcie ćmy, oświetlając postać stojącego nad jeziorem Genezaret Jezusa. Klimatyzacja została tak ustawiona, że było tu zimno jak na Alasce i Frank nie mógł powstrzymać dreszczy – podobnie jak Susan Fireman na szczycie swojej wyimaginowanej drabiny.

Podszedł do łóżka i popatrzył na chorą. Oddychała równomiernie, w czym pomagał jej podawany przez rurkę donosową tlen. Była tak blada, że skóra niemal przeświecała i twarz przypominała odlaną z białej stearyny pośmiertną maskę, sprawiała jednak wrażenie spokojnej. Pielęgniarki wyczesały prawie całą srebrną farbę z jej krótkich ciemnych włosów, ale były wysuszone i poplątane.

Odstawił kubek z kawą na jasnoczerwoną szafkę i popatrzył na zawieszony nad łóżkiem monitor. Ciśnienie krwi było nieco zbyt niskie, a puls za szybki, nie było jednak oznak arytmii. Musnął palcem odpowiednie miejsce na ekranie dotykowym, by sprawdzić poziom dwutlenku węgla we krwi i inne parametry, ale nagle uświadomił sobie, że dziewczyna ma otwarte oczy i patrzy na niego.

– O, nie śpi pani… – powiedział, uśmiechając się. – Jak samopoczucie?

– Kiepskie – szepnęła.

– Więc pani mówi?

Kiwnęła głową.

– Tak, ale tylko wtedy, kiedy muszę.

– Nie bardzo rozumiem…

– Jeśli się milczy, nie można kłamać, prawda? No i nikt nie może człowieka źle zacytować.

Skończył sprawdzać parametry.

– Gdybym miał wszystko robić bez słów, chybabym się długo nie utrzymał w swoim zawodzie.

– O, nawet pan sobie nie zdaje sprawy, jakie to trudne…

– Ale jest pani w tym bardzo dobra – pochwalił Frank. – W innym przypadku nie zatrzymałbym się, by panią oglądać.

– Nie lubi pan mimów?

– Hmm… obawiam się, że wąchanie nieistniejących stokrotek i opieranie się o nieistniejące mury nie bardzo do mnie przemawia.

– Rozumiem. Jest pan jednym z tych, którzy nie potrafią uwierzyć, że coś istnieje, dopóki tego nie zobaczą.

– Jeśli chodzi o mury, to zdecydowanie nie.

– A co z drabinami?

– No, może na ułamek sekundy… zgadzam się, sprawiła pani, że uwierzyłem, iż wspina się pani po drabinie.

Uśmiechnęła się słabo jednym kącikiem ust.

– Mogłabym wspiąć się wyżej, ale straciłam cierpliwość.

– W to nie wątpię. – Pochylił się nad nią i zaświecił jej długopisową latarką najpierw w jedno oko, potem w drugie.

– Dba pan o mnie.

– Proszę się nie ruszać. Oczywiście, że o panią dbam. To moja praca. Miała pani szczęście, że najlepszy gastroenterolog zachodniej półkuli był przy pani, gdy zaczęła pani wymiotować krwią.

– Macie już jakiś pomysł, co się ze mną dzieje?

– Jeszcze nie. Ma pani bardzo niskie ciśnienie krwi, co nas martwi, a liczba białych krwinek świadczy o tym, że cierpi pani na złośliwą anemię, najprawdopodobniej spowodowaną niezdolnością organizmu do wchłaniania wystarczającej ilości witaminy B dwanaście. Nie mogło to być jednak powodem krwotoku, a jak na razie nie stwierdziliśmy żadnych uszkodzeń przewodu pokarmowego ani żylaków przełyku.

– Nie jestem pewna, czy to wszystko rozumiem.

– W skrócie oznacza to, że na razie nie wiemy, co pani jest.

Odwróciła głowę i spojrzała na obraz z Jezusem.

– Nie sądzi pan, że wygląda na smutnego?

– Czy ostatnio czuła się pani źle? – spytał Frank.

– Właściwie nie. Czułam się jedynie… inaczej.

– Bierze pani jakieś leki? Środki przeciwlękowe? Coś przeciwdepresyjnego? Preparaty moczopędne?

– Biorę imbir i krwawnik, na bóle miesiączkowe.

– Rozumiem. A co z alkoholem? Ile pani średnio pije?

– Czasami kieliszek wina, ale niezbyt często. Łatwo się upijam, a nie lubię tracić nad sobą kontroli.

– Narkotyki?

– Nigdy. No, może raz… ale to było dawno temu.

– Co z dietą? Jest pani wegetarianką?

Skinęła głową, ale w dalszym ciągu patrzyła na obraz z Jezusem.

– Czasami osoby utrzymujące ścisłą dietę wegetariańską mają niedobór witaminy B dwanaście – wyjaśnił Frank. – Łatwo sobie jednak z tym poradzić, podając tabletki albo zastrzyki.

Zapisał coś w notesie.

– Doktor Gathering powiedział mi, że jest pani bardzo wrażliwa na światło. Od kiedy?

– Nie wiem… chyba od trzech, czterech dni. Może trochę dłużej. Naprawdę nie pamiętam.

– Tylko oczy są wrażliwe czy także skóra? Ma pani wysypkę albo coś podobnego?

Susan Fireman pokręciła głową.

– Nawet jeśli słońce nie świeci, nie mogę wyjść na zewnątrz niepomalowana.

– A co by było, gdyby się pani nie pomalowała?

– Boli. Mam wrażenie, jakbym stała zbyt blisko paleniska.

Frank zapisał sobie, że musi porozmawiać z doktorem Xavierem, dermatologiem.

– Rozumiem, że ma pani także nawracające koszmary senne.

Susan Fireman zrobiła lekceważącą minę, jakby nie chciała o tym rozmawiać.

– Nawracający koszmar senny może być czasami objawem zespołu chorobowego. Ciało wysyła do mózgu sygnał ostrzegawczy, że coś niedobrego dzieje się w organizmie.

– Nie wiem… to bardziej jak wspomnienie niż jak sen.

– Śni pani, że jest na pokładzie statku, zgadza się? I że jest pani zamknięta w skrzyni, ciemnej skrzyni.

– Nie tylko zamknięta. Pokrywa jest mocno przykręcona. Na mojej skrzyni stoją inne skrzynie, więc nawet gdyby wieko nie było przykręcone, też nie mogłabym wyjść.

– Rozumiem. Skąd więc pani wie, że jest na statku?

– Czuję ruch. Skrzynia unosi się, opada i kiwa na boki. Słyszę trzeszczące belki i szum oceanu. Czasami słyszę też, jak ktoś krzyczy, i to jest najbardziej przerażające.

– Wie pani, kto to taki?

Susan Fireman odwróciła się i popatrzyła na Franka.

– Chłopiec. Przynajmniej sądząc po głosie. To brzmi jak *tatal nostru*… Wykrzykuje te słowa raz za razem. Jest jeszcze więcej szczegółów, ale kiedy się budzę, nie pamiętam ich.

– *Tatal nostru*? Domyśla się pani, w jakim to jest języku?

– Nie, ale boję się, bo ten chłopiec też jest przerażony.

– Zrobimy pani jeszcze kilka badań. Próby alergiczne, badanie oczu i przynajmniej jeszcze jeden rentgen, bo może wrzód tak się umiejscowił, że na pierwszym zdjęciu go nie widać. Nie sądzi pani, że powinniśmy zawiadomić pani rodziców i powiedzieć im, co się dzieje?

– Tata jest bardzo chory. Nie chcę go denerwować.

– Może uda nam się najpierw porozmawiać z pani matką, niech ona zdecyduje, czy mu powiedzieć o tym, że jest pani w szpitalu.

Susan Fireman przez chwilę się zastanawiała.

– Nie… na razie tego nie róbcie. Sama im powiem.

– Czy chciałaby pani, abyśmy zawiadomili kogoś innego? Koleżanki, z którymi pani mieszka?

– Nie, nic im nie mówcie.

– Nie sądzi pani, że zaczną się denerwować, jeśli nie wróci pani do domu?

– Proszę…

Frank schował notes do kieszeni.

– Oczywiście, pani tu rządzi. Przyjdę za kilka godzin sprawdzić, jak się pani czuje.

◆ ◆ ◆

Kiedy wracał do gabinetu, zabrzęczał jego pager. Doktor Gathering prosił o pilny kontakt. Natychmiast do niego zadzwonił.

– George? Co się dzieje?

– Willy przysłał mi wyniki analizy krwi Susan Fireman. Ma bez wątpienia anemię, ale jest jeszcze coś. Willy twierdzi, że w jej krwi jest enzym, którego nie umie określić. Może będzie musiał wysłać próbkę do Rochester.

– Właśnie z nią rozmawiałem i chyba rzeczywiście jest w niej coś… wyjątkowego.

– Frank, to jeszcze nie wszystko. Zbadaliśmy krew, którą zwymiotowała.

– I co?

– To nie jej krew. Tak naprawdę są to dwa rodzaje krwi. Ona ma grupę AB, a to, co zwymiotowała, jest mieszanką grupy A i zero.

– Słucham?

– Obawiam się, że to prawda. Krew nie dostała się do jej żołądka w wyniku krwotoku wewnętrznego. Ona ją wypiła.

ROZDZIAŁ 2

Pragnienie krwi

Podczas gdy Frank i George siedzieli na niskiej skórzanej kanapie, doktor Pellman przeglądał wyniki badań, stukając przy tym długopisem o zęby. W końcu opadł ciężko na oparcie fotela.

– Jezu…

– Pomyśleliśmy, że powinien pan się z tym natychmiast zapoznać – powiedział George.

– Oczywiście, ma pan rację jak cholera. Musimy zawiadomić policję, i to natychmiast. – Pochylił się do stojącego na biurku interkomu i wcisnął klawisz. – Janice?

– Słucham pana?

– Proszę mnie połączyć z kapitanem Meznickiem ze Środkowomiejskiego Południowego, jeśli można, jak najszybciej. – Przeczytał jeszcze raz wyniki badań krwi, tym razem znacznie wolniej. – To pewne? Nie ma możliwości pomyłki?

Doktor Pellman był niski, miał siwe, sterczące do góry włosy, jakby je utapirował, i przypominał hobbita. Pracownicy nazywali go co prawda Trollem Śmierci, ale cieszył się ich szacunkiem. Bywał zawzięty i szybko wybuchał, miał jednak znakomite oko do szczegółów.

– Nie ma żadnego błędu, panie dyrektorze – powiedział George. – Dla pewności Willy zrobił badania dwa razy. To bez najmniejszych wątpliwości ludzka krew. Jeżeli ta dziew-

czyna nie ukradła jej z banku krwi ani nie trzymała zamrożonej, to przynajmniej dwie osoby straciły sporo krwi. Niemal na pewno tak dużo, że zmarły.

Zabuczał interkom.

– Panie dyrektorze, porucznik Roberts na linii. Kapitan Meznick jest w Filadelfii, na policyjnej konferencji.

– W porządku, to bez różnicy. – Doktor Pellman podniósł słuchawkę. – Porucznik Roberts? Nazywam się Harold Pellman i jestem wiceprezesem oraz dyrektorem do spraw medycznych w Szpitalu Sióstr z Jerozolimy. Nie chcę owijać w bawełnę: mamy u siebie młodą kobietę, która najwyraźniej pije krew.

Frank mógł się domyślać reakcji porucznika Robertsa, bo doktor Pellman powtórzył:

– Pije krew, poruczniku. Ludzką, do tego nie własną, a innych ludzi. Jeżeli osoba, której krew piła ta dziewczyna, nie dostała transfuzji, najprawdopodobniej nie żyje. – Podał adres Susan Fireman i jej dane, po czym odłożył słuchawkę. – To by było na tyle, panowie. Nic więcej nie możemy zrobić.

Frank nie wstał jednak.

– Z całym szacunkiem, panie dyrektorze, ale sądzę, że powinien pan spróbować porozmawiać z panią Fireman, zanim dotrze do niej policja. Musimy się dowiedzieć, dlaczego wypiła tę krew i skąd ją wzięła.

– Kiepski pomysł – stwierdził Pellman. – Nie jest pan detektywem, a nie chcę, aby ktokolwiek z pracowników szpitala ryzykował oskarżenie o przeszkadzanie w policyjnym śledztwie. Pamięta pan chyba, co się stało z dzieciakiem Koslowskich. Koszmar.

– Pamiętam, ale niezależnie od tego, co zrobiła pani Fireman, jest naszą pacjentką. Mamy obowiązek kontynuować procedury diagnostyczne, dopóki się nie dowiemy, co jej dolega.

– Frank, na Boga! Wiemy, co jej dolega. Podłącza się jak pompa do ludzkich krwiobiegów, do tego tak skutecznie, że najprawdopodobniej przy tym zabija.

– Zdaję sobie z tego sprawę, panie dyrektorze, ale picie ludzkiej krwi może być najbardziej znaczącym objawem jej choroby. Jeżeli przestaniemy się nią zajmować… to moim zdaniem nie wypełnimy lekarskiego obowiązku.

– Obawiam się, że muszę zgodzić się z moim kolegą – powiedział powoli George. – A jeśli jej choroba jest zaraźliwa? Jeżeli ktoś z naszego personelu albo ktokolwiek z naszych pacjentów to złapie, lepiej nie myśleć o konsekwencjach prawnych.

– No więc mamy klops – mruknął doktor Pellman. – Będziemy przeklęci, jeśli nic nie zrobimy, i podwójnie przeklęci, jeśli cokolwiek zrobimy.

– Powinienem jej zadać kilka pytań – oświadczył Frank. – Muszę wiedzieć, czyją krew piła, skąd ją wzięła i dlaczego ją piła.

– A o co pańskim zdaniem zapyta policja? Dokładnie o to samo.

– Ale policji nie będzie chciała tak chętnie odpowiadać, bo może się obawiać, że mogłaby się sama oskarżyć. A kiedy zjawi się jej adwokat, możemy pożegnać się z nadzieją, że czegoś więcej się dowiemy. Ma niezwykłą kombinację objawów… anemię, nadwrażliwość na światło… i do tego poważne problemy psychologiczne.

Doktor Pellman rzucił długopis na biurko.

– W porządku, ale nie zadawajcie jej żadnych pytań poza medycznymi, a jeżeli odmówi odpowiedzi, nie naciskajcie. Proszę też nie przeprowadzać żadnych nowych badań bez porozumienia ze mną.

Kiedy mieli już wychodzić z gabinetu dyrektora, znów zabrzęczał pager Franka.

– Mogę skorzystać z pańskiego telefonu, dyrektorze?

Doktor Pellman dał przyzwalający znak ręką, więc Frank podniósł słuchawkę i wykręcił numer.

– Frank, tu Dean Garrett z izby przyjęć. Właśnie przywieziono do nas młodego mężczyznę, który wymiotuje krwią. Objawy są bardzo podobne jak u dziewczyny, którą przywiozłeś rano.

– Zaraz u was będę. – Frank odłożył słuchawkę i popatrzył na doktora Pellmana z poważną miną. – Wygląda na to, że mamy następny przypadek.

◆ ◆ ◆

Kiedy Frank i George weszli do izby przyjęć, sanitariusze wprowadzali tam siedem ofiar walki gangów. Wszyscy darli się, klęli i byli pokrwawieni.

Doktor Garrett złapał jednego z chłopaków za przód skórzanej kamizelki.

– Jak się nazywasz, *bobo*? – rzucił ostro.

Dean Garrett nie wyglądał groźnie – był szczupły, jego policzki pokrywała całodniowa szczecina i miał opadające wąsy, podobne do tych, jakie nosił Wyatt Earp – ale tak wściekle patrzył, że chłopak mimowolnie stanął na baczność.

– Julius – burknął. Jego jedno oko było zamknięte wielkim sińcem, a na wargach miał pionową ranę ciętą. – Ale co to pana obchodzi?

– Do którego gangu należysz, Julius?

– Blue Morons.

– Blue Morons? Nawet pasuje*. A ci pozostali *bobos*? Z jakiego są gangu?

– X-Skulls.

– No dobra. Słuchaj, Julius: jestem doktor Dean i należę do gangu Wrzeszczących Medyków, a izba przyjęć to mój teren i nie wyjdziesz stąd żywy, jeśli puścisz bąka niezgodnie z przepisami. Popatrz na siebie: wydaje ci się, *gilapolla*, że to, co sobie porobiliście, świadczy o tym, że jesteście twardzi, no nie? Ale to tylko powierzchowne zadrapania, nic więcej. Ja umiem wyjąć człowiekowi jelita gołymi rękami, tak że nawet o tym nie będzie wiedział, i rzucić mu je na szafkę nocną obok łóżka. Jeżeli nie będziecie się odpowiednio zachowywać, obiecuję, że tak wam właśnie zrobię.

Julius otworzył poranione usta, nie odezwał się jednak,

---

* Moron to w slangu „dureń”.

a kiedy Dean Garrett puścił jego kamizelkę, dał znak swoim kumplom, aby przenieśli się w głąb sali, jak najdalej od członków wrogiego gangu.

– Dzieciaki – mruknął Dean. – To jeszcze dzieciaki i trzeba ich traktować jak dzieciaki.

– Nie wiem, jak ty z nimi wytrzymujesz – powiedział Frank. – Większość moich pacjentów to przemiłe starsze panie z rudymi włosami, ale też czasami doprowadzają mnie do szału.

– To proste. Musisz być dziesięć razy bardziej przerażający niż oni, to wszystko.

– Uwierz mi, byłeś. Co to jest *gilapolla*?

– *Gilapolla?* Tępak – odparł Dean.

Poprowadził Franka do jednego z boksów, znajdującego się dość daleko od wejścia. Kiedy odsunął zasłonkę, ujrzeli chudego dziewiętnasto-, może lub dwudziestoletniego chłopaka, dygoczącego gwałtownie. Jego T-shirt był przesiąknięty krwią. Miał nastroszone włosy, a jego oczy latały dziko na boki. Czarna pielęgniarka zakładała mu ssak, a druga – pryszczata biała blondynka – stała obok łóżka z miską w dłoniach.

Ledwie weszli do boksu, całym ciałem chłopaka szarpnęło, po czym mechanicznie jak marionetka wyprostował tułów i zwymiotował krwią do miski. Z jego brody zwisały pasma zakrwawionego śluzu. Jeszcze kilka razy wstrząsnął nim odruch wymiotny, a potem opadł na łóżko. Cały czas dygotał.

Pielęgniarka wzięła basen i chciała wyjść z pokoju, ale Frank ją powstrzymał.

– Proszę tego nie wylewać. Musi pani zanieść to doktorowi Lomanowi do analizy. Powinniśmy mieć nie tylko próbkę krwi żylnej pacjenta, ale także tej, którą zwymiotował.

– Sądzi pan, że ktoś mógł mu podać truciznę?

– Możliwe, ale ponieważ ten przypadek jest podobny do choroby tej młodej kobiety, którą zajmujemy się na górze, musimy sprawdzić jego grupę krwi. Krew, którą ta dziewczyna zwymiotowała, nie była jej krwią.

– Czy to znaczy, że… Jezu…

– Tak naprawdę to nie wiem, co to znaczy.

Frank podszedł do łóżka i pochylił się nad pacjentem. Młody człowiek miał szeroko rozwarte oczy, ale gałki w dalszym ciągu latały na boki, mruczał, wił się i od czasu do czasu wyginał kręgosłup w łuk, jakby ktoś podłączał go do prądu.

– Posłuchaj mnie, synu – powiedział głośno Frank. – Czy wiesz, gdzie jesteś?

Młodzieniec wpił palce w prześcieradło, najwyraźniej próbując odzyskać panowanie nad sobą.

– Jestem… jestem gghr…

– Posłuchaj mnie, spróbuj się skupić. Jestem lekarzem, nazywam się Winter i przywieziono cię do Szpitala Sióstr z Jerozolimy. Możesz mi powiedzieć, jak się nazywasz?

– Nazy… nazyw… aggh…

– Gdzie go znaleziono? – spytał Frank.

– Na Port Authority. Kiedy się przewrócił, stał w kolejce po bilet.

– Jakiś dokument?

– Nic. Sanitariusze powiedzieli, że nie znaleźli przy nim portfela. Albo nie miał, co brzmi mało prawdopodobnie, ponieważ zamierzał kupić bilet, albo ktoś mu go ukradł, kiedy leżał na podłodze i wyrzygiwał bebechy.

– Cóż za szczęśliwy świat.

– No dobra – mruknął Dean. – Robimy zwykły komplet badań i jak tylko będą wyniki, natychmiast cię zawiadomimy. Pomyślałem, że powinieneś go zobaczyć.

– Oczywiście.

Nagle na zewnątrz rozległy się krzyki i wycia, do których dołączył metaliczny klekot. Blue Morons zaczęli szydzić z X-Skulls, jeden z chłopaków złapał krzesło i zaczął nim wymachiwać w powietrzu, jakby miał zamiar rzucić.

– Przepraszam na chwilę – oznajmił Dean. – Muszę rozwalić kilka łbów.

– Nie ma sprawy, pogadamy później – odparł Frank.

Kiedy Dean odszedł, Frank jeszcze przez dłuższą chwilę stał obok łóżka i przyglądał się młodemu człowiekowi. Jego

twarz była jeszcze bledsza niż twarz Susan Fireman i wyglądał na znacznie bardziej wycieńczonego. Z Susan można się było jako tako porozumieć. Trudno powiedzieć, czy młodzieniec zdawał sobie sprawę z tego, gdzie się znajduje i co się z nim dzieje.

– Nie wiem… gggh… nie wiem grgh… – wycharczał.

– Czego nie wiesz? Chodzi o portfel? Nie wiesz, gdzie twój portfel?

– Nie wiem… dokąd mam jechać…

– Stałeś w kolejce do kasy na dworcu autobusowym. Pamiętasz, dokąd zamierzałeś jechać?

– Muszę się… uchchr…

Frank ujął go za dłoń.

– Posłuchaj, najlepiej będzie, jeśli odpoczniesz. Zrobimy ci serię standardowych badań laboratoryjnych i kiedy otrzymamy wyniki, będziemy wiedzieć więcej o tym, co się z tobą dzieje.

– *Tatal… tatal nostru…*

– Co powiedziałeś?

Frank popatrzył na dużą czarną pielęgniarkę, ale kobieta tylko wzruszyła ramionami.

– Chyba chciał powiedzieć coś o swoim nosie. Może ma kłopoty z oddychaniem.

– *Tatal nostru* – powtórzył chłopak. Jego puls gwałtownie przyspieszył, podczas gdy ciśnienie krwi wciąż spadało. Zachłysnął się, wykaszlał jeszcze trochę krwi i złapał Franka za rękaw. – *Tatal nostru!*

– Poproszę epinefrynę, szybko! – rzucił Frank do pielęgniarki, po czym znów zwrócił się do chorego: – Słyszy mnie pan? Proszę się nie wysilać. Pański organizm doznał poważnego wstrząsu i musi pan spróbować zachować spokój.

– *Tatal nostru… carele esti in ceruri…* – wydyszał młodzieniec.

– Niech pan nie próbuje mówić – pohamował go Frank. – Proszę oddychać głęboko i równo, o tak… i odprężyć się.

Młody człowiek wbijał we Franka szeroko otwarte oczy.

W kącikach jego ust pieniły się krwawe pęcherzyki, a klatka piersiowa unosiła się i opadała, jakby biegł w maratonie.

– *...sfinteasca-se numele tau... vie imparatia ta... faca-se voia ta...*

– Proszę nic nie mówić – powtórzył Frank. – Musi pan zachować spokój.

Pielęgniarka wróciła z epinefryną i strzykawką. Frank uniósł zakrwawione ramię młodzieńca, przemył je wacikiem, znalazł żyłę i wstrzyknął lek.

– *Painea noastra... cea de toate dane-o astazi...*

Frank czekał. Minęła minuta, dwie. Początkowo bał się, że pomylił się w ocenie i młodzieniec wcale nie miał wstrząsu anafilaktycznego, ale wkrótce praca serca chorego zaczęła się stabilizować, ciśnienie krwi wzrosło i nie łapał już tak gwałtownie powietrza.

Jego wargi poruszały się jednak w dalszym ciągu, jakby niezależnie od wszystkiego musiał dokończyć recytację.

– *...si nu ne duce pre noi in ispita... si ne scapa de cel rau...*

Po chwili przestał mówić i zamknął oczy. Frank odsunął mu kciukiem powiekę i choć gałka oczna w dalszym ciągu skakała jak szalona na boki, chory był nieprzytomny.

– Chciałbym, aby go pani dokładnie obserwowała – powiedział Frank do pielęgniarki. – Kiedy lek przestanie działać, może nastąpić kolejny atak.

Wrócił Dean. Wyglądał na wymęczonego.

– Przepraszam, Frank, że musiałem cię tu zostawić. Jak on się czuje?

– Dostał wstrząsu. Wyglądało to na ostrą reakcję alergiczną na coś, co zjadł albo czego dotykał.

– A teraz co z nim?

– Dałem mu dwa miligramy epinefryny.

Dean pochylił się nad chorym.

– Te objawy… nie wiem. Nie wydają się ze sobą powiązane. Dzieje się tu coś bardzo dziwnego.

– Tak uważasz? To jeszcze nie wszystko. Mówił w jakimś obcym języku.